

IWONA KIENZLER

PORACHUNKI

SZWEDZKA GOTLANDIA, ZNANA JAKO WYSPA
MILIONERÓW, SKRYWA MROCZNE TAJEMNICE...

LIRA
WYDAWNICTWO

PORACHUNKI

IWONA
KIENZLER

PORACHUNKI

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67915-45-8

May God betray them who betrayed him
Bóg zdradza tych, którzy zdradzili Jego

PROLOG

Miasto nocą wyglądało jak wymarłe. Paliły się jedynie nieliczne w tym miejscu latarnie, neony sklepów i kilka wystaw, których światła odbijały się w kałużach. Panowała kompletna cisza. Rozświetlona restauracja i zaparkowane przy niej samochody pozwalały przypuszczać, że wewnątrz tętni życie nocne, chociaż na zewnątrz nie przedostawał się żaden hałas. A przecież głośna muzyka w środku musiała dosłownie rozsadzać bębunki, tak jak we wszystkich tego rodzaju przybytkach.

Po chwili z restauracji wytoczyła się ze śmiechem grupa młodych ludzi, wpadając wprost na zaparkowany przy krawężniku stary terenowy samochód.

— Hej, człowieku, nie śpij! Jeszcze wcześniej. — Jedna z pijanych dziewczyn uderzyła ręką w brudny dach wozu, ale gdy napotkała zimny wzrok stalowoszarych oczu siedzącego za kierownicą młodego człowieka, natychmiast cofnęła dłoń. Pospiesznie wybełkotała „przepraszam” i całe rozbawione towarzystwo zniknęło za rogiem.

Młoda kobieta w pierwszej chwili miała ochotę obejrzeć się za siebie i spojrzeć raz jeszcze na kierowcę zaparkowanego pojazdu, ale wspomnienie spojrzenia, jakim obrzucił ją samą i jej towarzyszy, skutecznie ją od tego odwiodło. Nikt nigdy wcześniej tak na nią nie patrzył i już sama myśl o spotkaniu się z właścicielem owych szarych, zimnych oczu przypawiła ją o dreszcz na plecach. Kiedy jednak zniknęli za zakrętem, zapomniała o całym zajściu.

Siedział tak już prawie czterdzieści minut. W końcu ruszył. Ulica była długa i prosta, jednak rozkopana droga i pozostawiony przez robotników ciężki sprzęt uniemożliwiały szybką jazdę, szczególnie że tym razem nie miał do dyspozycji dobrego, sportowego samochodu o niskim zawieszeniu. Zawsze żądał, aby zleceniodawca zapewnił mu możliwość korzystania z wysokiej klasy pojazdu, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że luksusowe auto mogło zwracać uwagę. Cóż, ryzyko zawodowe, ale ryzyko było nieodłącznym elementem jego pracy. Tym razem jednak pojazd musiał być odpowiednio ciężki.

Pogoda nie była najlepsza, cały wieczór mżyło i co chwilę musiał włączać wycieraczki, żeby cokolwiek widzieć. Od czasu do czasu zraszał szyby, chociaż nie znosił zapachu płynu do mycia. Ponieważ boczne okno miał do połowy opuszczone, na policzku czuł maleńkie krople deszczu. Robiło się coraz zimniej, ale na szczęście tej nocy miasto jeszcze nie doświadczyło zapowiadanego przez meteorologów mrozu. Był dopiero listopad.

Niepokój, jaki odczuwał, utrzymywał go w stanie najwyższej koncentracji. Był jak zawsze dobrze przygotowany, miał wszystko zaplanowane z największą precyzją, i to pomimo tego, że zleceniodawca nie dał mu tym razem wiele czasu. Ale dla niego nie był to problem, był przecież zawodowcem, nie mogło mu się nie udać. Z rozmyślenia wyrwał go widok dwóch niewyraźnych świateł pojazdu jadącego wylotówką od strony Kristinebergu. Najwyższy czas, dochodziła już północ.

Chociaż ulica była zupełnie pusta, roboty drogowe zmuszały do ostrożnej jazdy nawet w nocy. Ciemna mazda jechała prawym pasem z przepisową prędkością, zwalniając przed każdym skrzyżowaniem. Kierowca prowadził, jak na Szweda przystało, przestrzegając przepisów. Poza tym doskonale zdawał sobie sprawę, że ktoś z jego pozycją nie może pozwolić sobie na popełnienie nawet najdrobniejszego wykroczenia — jego stanowisko mu na to nie pozwalało, aczkolwiek chronił go immunitet. Zresztą zawsze jeździł ostrożnie, z przyzwyczajenia. Poza tym miał poczucie wewnętrznej przyzwoitości, wpojone mu jeszcze w dzieciństwie przez bogobożnych, protestanckich rodziców, wiedział też, że człowiekowi na świeczniku najzwyczajniej po prostu nie wypada zachowywać się w naganny sposób. Dopiero prasa miałaby używanie, gdyby ktoś kiedyś przyłapał go na przekraczaniu dozwolonej prędkości czy wymuszaniu pierwszeństwa. Coś takiego ostatecznie przekreśliłoby jego karierę, a przecież wciąż miał plany, tak wiele chciał dokonać...

„Strasznie ślisko” — pomyślał. „Będę musiał wspomnieć o tym w poniedziałek na zebraniu w magistracie. Służby powinny interesować się stanem nawierzchni przez całą dobę, nie tylko w ciągu dnia. Szkoda, że nie wzięliśmy taksówki”.

W radiu cicho grała muzyka — Ricky Martin wypłakiwał się po stracie ukochanej, tak przynajmniej twierdził prezenter zapowiadający jego piosenkę. Mężczyzna prowadzący samochód co prawda nie znał hiszpańskiego, ale przemknęła mu myśl, że być może chodzi nie

o dziewczynę, ale o chłopaka, wszak plotka głosiła, że przystojny Latynos gustuje w przedstawicielach tej samej płci. Uśmiechnął się pod nosem i odwróciwszy głowę, rzucił okiem na drzemiącą na tylnym fotelu kobietę. Jego żona spała spokojnie, z głową opartą o zagłówek fotela, a jej starannie ułożone przed wyjściem jasne włosy były teraz w lekkim nieładzie. Właściwie to nic dziwnego, że ją zmoгло, przecież zawsze chodziła wcześniej spać. Lubiła obudzić się przed nim, przygotować mu kawę z rana i zacząć się już krzątać po mieszkaniu.

Tymczasem było naprawdę późno. Spotkanie ze starymi znajomymi bardzo się przeciągnęło. Dobrze się rozmawiało, dużo się śmiali, mieli podobne poczucie humoru. Z Ingrid i Johanem znali się niemal od zawsze, a przynajmniej tak o sobie mówili. W rzeczywistości poznał ich w liceum, kiedy żadne znaki na niebie i ziemi nie wróżyły jeszcze, że tych dwoje w przyszłości zostanie parą. Tymczasem pobrali się już na studiach i byli bodaj najzgodniejszym ze znanych mu małżeństw, a przynajmniej takie sprawiali wrażenie. Zawsze twierdził, że aż nazbyt dobrze się dogadują. W jego stadle nie zawsze było tak różowo, a kłótnie z żoną przypominały gwałtowne letnie burze. Na szczęście podobnie szybko mijały. Oboje z żoną lubili odwiedzać Johana i Ingrid, zwłaszcza kiedy pan domu serwował krewetki w białym winie, jego popisowe danie. Ale nie tylko zdolności kulinarne przyjaciela sprawiały, że lubił wpadać do ich domu z wizytą. Było to jedno z nielicznych miejsc, gdzie zapominał, jak odpowiedzialne stanowisko zajmuje, i mógł się odprężyć, nie będąc pod ostrzałem

czujnych spojrzeń, o żądnych krwi dziennikarzach nie wspominając.

Kiedy wpadali do Ingrid i jej małżonka, z reguły kończyło się na burzliwej, trwającej nawet kilka godzin dyskusji, tak się bowiem składało, że on i Johan co prawda się przyjaźnili, ale na wiele kwestii mieli drastycznie odmienne spojrzenie, począwszy od polityki, na kinie skończywszy. Tak było i tym razem. Obaj toczyli żartą dysputę, przy czym gospodarz jak zwykle dał się ponieść emocjom — mówił podniesionym głosem, niemal krzycząc i gwałtownie gestykulując, w czym zresztą przypominał raczej gorącego Włocha niż stereotypowego chłodnego Szweda. On sam był zazwyczaj opanowany i nigdy nie dał się wyprowadzić z równowagi, ale taki pozorny stoicki spokój udało mu się wypracować dopiero po kilku latach kariery politycznej. Ten rażący kontrast pomiędzy interlokutorami sprawiał, że ich żony miały z nich niezły ubaw, dlatego — chociaż także lubiły ze sobą rozmawiać — z przyjemnością przysłuchiwały się dyskusjom swoich partnerów, od czasu do czasu wymieniając między sobą uwagi przyciszonym głosem lub spoglądając na siebie znacząco.

Tego wieczoru panie rozsiadły się wygodnie na kanapie, dzierżąc w dłoniach kieliszki z winem, i oglądały oratorskie popisy swoich małżonków, czasem cichutko chichocząc. Kto wie, ile czasu spędziliby u Johana i Ingrid, gdyby odruchowo nie spojrział na zabytkowy, odziedziczony po dziadkach pani domu zegar wiszący w centralnym punkcie salonu. Dopiero wówczas zorientował się, jak jest późno, a przecież musieli jeszcze

odebrać dzieci od sąsiadki. Ich córki, zostawione pod opieką zaprzyjaźnionej nastolatki, pewnie już spały. Mając małe dzieci, trzeba być nieustannie czujnym. Dlaczego ciągle o wszystko się martwi i nie potrafi się zrelaksować nawet na świetnej imprezie? Jego żona jest bardziej wyluzowana, wie, że dzieci mają opiekę i pewnie już w najlepsze śpią.

Pomyślał, że w gruncie rzeczy to dobrze, że współpracownicy nie wiedzą, jakim sztywniakiem jest prywatnie. Ta samokontrola nawet dla niego samego stawała się czasami nie do wytrzymania. Spokojnie mógł wypić kilka drinków więcej i oddać kluczyki żonie; jego kole-dzy często wracali do domu mocno pijani. Ale on był przekonany, że jemu nie wypada. Musiał świecić przykładem, chodzący ideał. Jego matka, gdyby oczywiście żyła, zapewne byłaby z niego dumna, ale żona uważała, że przesadza.

Samochód zbliżał się do kolejnych nieczynnych świateł. Wszystko przez tę przebudowę starego skrzyżowania. Dziwne, że nie ma żadnych innych pojazdów na tej drodze. Może inni nie umieją jeździć bez działającej sygnalizacji świetlnej? Wszyscy, którzy wyszli w sobotę wieczorem z domu, pewnie jeszcze gdzieś się bawią, tylko nie on...

Z zamyślenia wyrwało go nagle silne uderzenie i potworny huk. Samochód przeokoziółkował i uderzył w stojący nieopodal walec drogowy. Ułamek sekundy wystarczył, żeby całe jego uporządkowane i nudne życie stało się nieistotne. To wszystko nieważne. Chciał krzyknąć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Nie czuł bólu, tylko

ciepłą ciecz zalewającą mu oczy i usta. Odruchowo wyciągnął prawą rękę, żeby sprawdzić, co z żoną, ale napotkał pustkę. Nie mógł się ruszyć. Napięte pasy bezpieczeństwa przytrzymały go mocno.

Kiedy próbował ruszyć lewą ręką, poczuł tak przejmujący ból, że z jego gardła wyrwał się krzyk, który bardziej przypominał wycie niż ludzki głos. Po chwili kątem oka zauważył, że od strony szosy zbliża się do nich jakiś człowiek. Kiedy odwrócił głowę, niewyraźnie dostrzegł jego twarz zasłoniętą przez kaptur ciemnej kurtki. Pomimo panującej ciemności, ledwie rozświetlonej przez stojącą nieco dalej latarnię, mężczyzna wydał mu się stosunkowo młody. Był pewien, że nieznajomy zaraz otworzy drzwi, by wyciągnąć jego i jego żonę z samochodu, ale człowiek ten tylko zajrzał do środka — najpierw przez przednią, potem przez tylną szybę, jakby chciał sprawdzić, co się stało kierowcy i pasażerom. Wrzasnął coś wściekle w obcym języku, co brzmiało jak paskudne przekleństwo, a potem szybko pobiegł w nieznanym kierunku. Pomyślał, że nieznajomy udał się po pomoc. Znów próbował prawą ręką sięgnąć do siedzącej z tyłu żony, ale i tym razem trafił w pustkę. A potem zapadł się w nicość...

*

Ocknął się w szpitalu. Bóg jeden wie, jak długo tam leżał i przez jaki czas był nieprzytomny. Szybko się zorientował, że oddycha samodzielnie, obie nogi oraz lewą rękę ma w gipsie i jest podłączony do mnóstwa czujników.

Jakieś urządzenie pikało tuż nad jego uchem, ze stojaka umieszczonego po jego lewej stronie powoli kapął płyn, który potem płynął cienką rurką podłączoną gdzieś do jego ciała. Spokojnie rozglądał się po sali, szukając kogoś z personelu. Zamiast tego dojrzał siedzącą na krześle na lewo od łóżka Martę, swoją teściową. Uśmiechnął się na widok znajomej twarzy, a przynajmniej starał się uśmiechnąć. Po jej minie wywnioskował, że chyba mu to nie wyszło. Marta siedziała wyprostowana, ubrana w elegancką czarną sukienkę, a włosy, które zwykle spletała w luźny warkocz lub spinała w koński ogon, wyjątkowo miała starannie upięte w kok. Ze zdziwieniem zauważył, że chyba przybyło jej siwych włosów. Światło sączące się z lamp na suficie sprawiało, że wśród jej naturalnie jasnych, gęstych pasm widać było wyraźnie białe nitki. Dostrzegł też, że była zdenerwowana, co jakiś czas zaciskała palce na brzegu czarnej, eleganckiej torebki, którą trzymała na kolanach. Właściwie to był jedyny ruch, jaki wykonywała: siedziała sztywno, wpatrzona w niego, nawet nie założyła nogi na nogę.

— Cześć, Marto! — powiedział zachrypniętym głosem. — Dobrze cię widzieć. Zdaje się, że mieliśmy z Lottą wypadek i nieźle nas pokiereszowało.

Kobieta nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Wciąż siedziała bez ruchu, jakby ktoś zamienił ją w słupek soli.

— Kiepsko to wygląda — kontynuował. — Byłaś już u Lotty? Co z nią? Jak się czuje?

Marta wciąż milczała, ale kiedy spojrział w jej oczy, ujrzał w nich coś, co go zmroziło. I wówczas dotarło do niego, że Lotty już nie ma.

— Nieee! — wrzasnął tak głośno, jak tylko pozwalało mu gardło, a stojące obok urządzenie zaczęło pikać jak szalone. — Nie! To nieprawda! Nieprawda!

Otworzyły się drzwi i do pokoju wpadły dwie pielęgniarki. Jedna podbiegła do niego, a druga z wyrzutem spojrzała na Martę.

— Przecież lekarz wyraźnie prosił, żeby nic mu jeszcze nie mówić!

— Nic mu nie powiedziałam! — odparła sucho teściowa.

Druga z pielęgniarek łagodnie dotknęła jego czoła.

— No już, już, wszystko będzie dobrze — powiedziała, a następnie wbiła strzykawkę w wystający z przegubu jego ręki wenflon i nacisnęła tłok.

Po krótkiej chwili błogosławiona nicość objęła go swoimi mackami.

1.

Upał na międzynarodowym lotnisku w Antalyi, bramie do Riwiery Tureckiej, pomimo pochmurnego dnia był nie do zniesienia. Samolot czarterowy linii SunExpress, który przywiózł z Visby szwedzkich turystów spragnionych słońca i przygód, wylądował z lekkim opóźnieniem. Pasażerowie w pośpiechu przeciskali się z bagażami do wyjścia, żeby jak najszybciej znaleźć się w strefie opowanej przez przedstawicieli biur podróży, rezydentów, kierowców autokarów turystycznych i prywatnych taksówkarzy. Rodzice nawoływali dzieci, maluchy płakały, a nastolatki przeklinały, że nie działa wi-fi. Wszyscy rozpoczynali właśnie swoje urlopy i wakacje pod słonecznym niebem kurortu na południu Turcji.

— Gdzie podział się Anton? — Starsza siostra Sary, Emma, ściągała z taśmy bagażowej ciężką torbę podróżną i nie mogła zrozumieć, dlaczego jej chłopaka nigdy nie ma w pobliżu, kiedy go najbardziej potrzebuje.

— Chyba poszedł do toalety — odpowiedziała Sara. Zmęczonym wzrokiem rozejrzała się wokół i dojrzała drzwi prowadzące do łazienek. Chętnie przebrałaby się w coś lżejszego, zamieniła długie džinsy na jakieś szorty, ale wszystkie ubrania zostały w jej plecaku, który jeszcze nie nadjechał. — Ja też muszę iść. Poradzisz sobie sama?

— Jasne. Zero z was pożytku. — Emma już zaczynała się złościć, gdy zobaczyła podbiegającego do nich Antona, udającego objuczonego bagażami tragarza i strojącego głupie miny.

— Czekamy na ciebie, młoda, tylko się pośpiesz — zawołał wesoło w kierunku siostry swojej dziewczyny.

Ta pomachała mu bez słów, blado się uśmiechając, i czym prędzej skręciła w stronę toalet. Nie było jej do śmiechu, nie miała też nastroju na plażowanie ani na zwiedzanie w słońcu. Najchętniej skorzystałaby z jakiegoś podręcznego transportera, jakim dysponują chociażby bohaterowie *Star Treka*, i wróciła do domu, by położyć się do łóżka i nie wychodzić z niego przez kilka najbliższych dni. Wszystko przez to, że Sara, młodsza z dwóch pięknych córek znanego socjaldemokraty, Jana Wetterberga, od rana czuła się fatalnie, a kilkugodzinny lot i turbulencje jeszcze nasiliły jej problemy żołądkowe. Od kilku dni wymiotowała kawą, której nie mogła sobie rano odmówić, chociaż o śniadaniu nie chciała słyszeć. Sama swoją niedyspozycję tłumaczyła rozpaczą po wyjeździe ukochanego, a jej krewni zdawali się doskonale ją rozumieć i szczerze jej współczuli. Wiadomo, co stres robi z organizmem zakochanego człowieka. Wakacje w Turcji, na które namówili Sarę Emma i Anton, miały pomóc jej uporać się z tęsknotą i odzyskać równowagę psychiczną, co zdaniem jej ojca z pewnością przyczyniłoby się do poprawy stanu jej zdrowia. Na razie jednak jedyne, o czym marzyła, to ochłodzić twarz zimną wodą i zmyć z siebie podróży kurz.

Emma, dwudziestodwuletnia, blondwłosa, długonoga piękność o lekko oliwkowej cerze, zawsze starała się roztaczać opiekę nad dwa lata młodszą siostrą. Obie studiowały archeologię na Uniwersytecie w Visby. Urodzone w Sztokholmie, po śmierci matki wychowywane

przez nadopiekuńczego ojca, kiedy tylko stało się to możliwe, wyrwały się, jedna po drugiej, spod jego skrzydeł. Wetterberg, bardzo zaangażowany w wiele społecznych projektów, a tym samym posiadający niezliczonych wrogów, cieszył się, że córki mieszkają z dala od stolicy. „Polityka jest brudna i dzieci nie powinny być narażane na styczność z nią” — powtarzał przy każdej okazji wszystkim, którzy się dziwili, że dziewczyny nie mieszkają z ojcem.

O ile Emma twardo stąpała po ziemi i umiała radzić sobie z każdą przeciwnością losu, o tyle dwudziestoletnia Sara była wrażliwą romantyczką bujającą w obłokach. Trochę wykorzystywała matkującą jej Emmę, ale jednej i drugiej sprawiało to przyjemność. Fizjonomia młodszej z sióstr była dowodem na to, że pozory mylą. Dawało to zresztą Sarze niemalą satysfakcję. Wyglądała i zachowywała się tak, że nikt nie mógł odgadnąć, co naprawdę dzieje się w jej wnętrzu. Jej częściowo różowe, niesymetrycznie przycięte włosy i kolczyki w różnych miejscach twarzy odstraszały potencjalnych intruzów czy podrywaczy usiłujących ją nagabywać. Tak samo jak fabrycznie zniszczona skórzana kurtka, z niezliczonymi zamkami, zatrzaskami i ćwiekami, sugerująca, że osoba, która ją nosi, jest prawdziwą twardzielką. Na niechęć ewentualnych podrywaczy liczyła też w Turcji, bo wcale nie miała ochoty ani zawierać nowych znajomości, ani nawet rozmawiać z kimkolwiek obcym. Z relacji przyjaciółek, które miały już okazję wypoczywać na Riwierze Tureckiej, doskonale wiedziała, że tamtejsi chłopcy podryw mają we krwi i zaczepiają wszystkie dziewczyny niebędące

muzułmankami, przede wszystkim turystki, zwłaszcza te blondwłose i niebieskookie. Liczyła jednak na to, że jej różowe włosy i kolczyki będą wystarczającym straszakiem. Kiedy jednak patrzyła w lustro, zdawała sobie sprawę, że nawet gdyby ogoliła swoją głowę na łyso, i tak mogłaby się podobać. Miała niewątpliwe szczęście odziedziczyć regularne, klasyczne rysy po rodzinie ojca, podobnie jak wyraziste kości policzkowe, tak bardzo pożądane we współczesnym modelingu, o czym poinformował ją znajomy fotograf z branży modowej, oferując przy okazji zdjęcia próbne. Sara zbyła to wymownym milczeniem. Dziewczyna wiedziała, że gdyby tylko wyraziła chęć, owinęłaby sobie wokół palca niejednego chłopaka. Sama ta świadomość sprawiała jej niekłamana przyjemność, podobnie jak widok oglądających się za nią mężczyzn. Ale dla niej liczył się tylko Rodriguez.

Przemywając twarz w umywalce w lotniskowej toalecie, z niepokojem przyjrzała się swojemu odbiciu i zauważyła, że jest dziwnie blada i ma podkrążone oczy. Najwyraźniej potrzebny był jej wypoczynek i południowe słońce. Z uśmiechem pomyślała o chwili, kiedy otworzy walizkę, by wyjąć z niej nowiuteńki kostium bikini, kupiony przed samym wyjazdem. Jaskrawy błękit z żółtymi dodatkami będzie ładnie kontrastował z jej opaloną skórą. Nie zdążyła jeszcze złapać słońca w tym roku, ale zawsze wystarczały jej dwa—trzy dni, żeby wszyscy na plaży oglądali się za jej szczupłą, opaloną sylwetką. Zachwycone spojrzenia co prawda nie wynagrodzą jej nieobecności Rodrigueza, ale z pewnością poprawią jej humor. Kto wie, może nawet sobie trochę poplirtuje, co będzie stanowić

jakąś rekompensatę za codzienny widok Emmy i Antona tulących się do siebie i obdarzających się pocałunkami. Przed wyjściem Sara spojrzała po raz ostatni w lustro i niecierpliwie przeczesła palcami swoje różowe włosy, próbując nadać im pożądaną wykład. Wiedziała, że powinna się spieszyć — w holu czekała na nią nie tylko jej siostra ze swoim chłopakiem, ale również reszta turystów, którzy przylecieli razem z nimi.

*

Wypadek do Turcji stanowił wyjątkowe wydarzenie w życiu sióstr Wetterberg, które zazwyczaj spędzały wakacje na Gotlandii, w miejscowości Roma, gdzie mieszkała ich ukochana babcia Marta. Znały każdy kamień na plaży w Snäckgårdsbaden i miały nieodpartą wrażliwość, iż każdy z tych kamieni także je zna. Tam wystarczyło założyć na siebie cokolwiek, żeby dobrze się bawić, chociażby bawełniany top i szorty. Ale na wyjazd zagraniczny i plaże pełne ekskluzywnych turystów musiały nabyć jakieś szczególne ciuchy. Kryzys finansowy, który powoli docierał też do Szwecji, nie mógł mieć wpływu na ich wakacyjny wyjazd. Wyprawa była niezaplanowana. Emmie i Antonowi udało się przypadkowo znaleźć bardzo atrakcyjną ofertę *last minute*: dziesięć dni w niedrogim hotelu w Alanyi nad samym morzem. Ciągłe westchnienia Sary i jej ponury nastrój nie pozostawiły im wyboru — musieli zabrać małolatę ze sobą.

— Tu jesteś. — Do łazienki, w której Sara wciąż przyglądała się swojemu odbiciu, wpadła Emma. — Myślałam,

że się zgubiłaś. Czekamy już tylko na ciebie. Właściwie to chcieliśmy cię zostawić na lotnisku.

— Zrobilibyście to? Mogłabym przecież nie trafić sama do hotelu.

— Wiesz, że żartuję, ale jak będziesz marudzić minutę dłużej, to kto wie. Chodź, jest bardzo przystojny.

— Kto?

— No, rezydent. — Emma zaczęła się śmiać. — Muszę cię trochę rozruszać, bo nam się tu zasmuczysz na śmierć. Rodriguez wraca za niecałe dwa miesiące, uszy do góry! Lepiej ci trochę?

— Tak, już okej. Możemy jechać.

Dziewczyna kłamała: wcale nie było lepiej, wciąż czuła dziwny ucisk w żołądku, a kiedy wyszła na zewnątrz, zrobiło się jeszcze gorzej. Sara ledwie łapała oddech i odniosła wrażenie, że zaraz nabawi się porażenia słonecznego. Na szczęście rezydent stał niedaleko drzwi wyjściowych prowadzących prosto na parking. Dziewczyna z przyjemnością zauważyła, że jej starsza siostra miała rzeczywiście rację — mężczyzna, którego zadaniem było opiekować się nimi w trakcie pobytu na Riwierze, był rzeczywiście bardzo przystojny. Wysoki, muskularny, ubrany w białe dżinsy i firmową koszulkę z logo zatrudniającego go biura podróży, niewątpliwie przykuwał uwagę, zwłaszcza turystek, z których część beczelnie się do niego mizdrzyła. Miał starannie przyszczyżone jasne włosy, które dzięki mocnej opaleniznie wydawały się niemal białe, a okulary w modnych oprawkach nadawały mu intrygujący wygląd intelektualisty. Sara zastanawiała się, czy te jasne włosy nie są przypadkiem dziełem fryzjera, wszak znani jej

blondyni mieli skórę bardzo jasną i wrażliwą na słońce, dlatego z reguły na wakacjach nie wychodzili z domu, nie nałożywszy uprzednio na wszystkie odsłonięte miejsca grubej warstwy kremu z najmocniejszym filtrem UV. A tymczasem ich rezydent był opalony niemal tak mocno jak południowiec z jakiejś reklamy. Gdy Emma zauważyła, że siostra przygląda się z uwagą mężczyźnie, cichcem do niej podeszła i dała jej kuksańca w bok, porozumiewawczo mrugając. Ale rezydent nie zwracał uwagi ani na Sarę, ani na inne turystki, nawet te, które przyglądały mu się rozanielonym wzrokiem. Jak przystało na człowieka poważnie traktującego swoją pracę, wzrok miał utkwiony w dokumentach i odznaczał po kolei nazwiska osób, które miały autokarami dotrzeć do poszczególnych hoteli. Prosił wszystkich, żeby swoje walizki ładowali zgodnie ze wskazówkami kierowcy czekającego przy otwartym bagażniku, co miało ułatwić ich wypakowanie pod hotelem.

Wszyscy przyjezdni zauważyli z zadowoleniem, że chmury, które ich przywitały na płycie lotniska, zniknęły za majaczącymi w oddali górami. Zrobiło się naprawdę gorąco. Sara jeszcze w holu założyła swoje nowe okulary przeciwsłoneczne o bardzo ciemnych szklach, kupione specjalnie z myślą o wakacyjnych wozach, ale i tak musiała zmrużyć oczy po wyjściu na zewnątrz. Wszystko tonęło w oślepiającym blasku popołudniowego słońca. „Oczy muszą się przyzwyczaić” — pomyślała. „Nic nie widzę”. Nic więc dziwnego, że wpadła na jakiegoś nieznajomego, najprawdopodobniej tubylca.

— Ojej, przepraszam. Nie zauważyłam pana. Wszystko przez to mocne tureckie słońce.